

TINA HARNESK

*Ludzie,  
którzy sieją  
w śniegu*

PRZEŁOŻYŁA AGATA TEPEREK

MARGINESY

Książka ukazała się dzięki dofinansowaniu Swedish Arts Council

SWEDISH  
**ARTS**COUNCIL

*Folk som sår i snö*

COPYRIGHT © Tina Harnesk 2022

Published by agreement with Ahlander Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Teperek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2024

Dzieciom

Ejvindowi & Florze

Jonowi-Ántemu, Joarowi, Máhttemu,  
Erikowi, Signe, Dagowi-Biehtarowi,  
Antarisowi, Edith, Johnowi & Darii

...& Tobie, mężczyźnie, który obiecał mi psa,  
jeśli napiszę książkę.

*Your move.*

# Prolog

– Proszę, opowiedz mi tę historię o pasterzu reniferów, który spotkał *háldi, eanu!* – Rezolutny chłopięcy głosik zadźwięczał czysto niczym rozsypane po podłodze mrożone borówki.

Máriddja leżała obok w sypialni i słyszała, jak Biera dawnym zwyczajem siorbie kawę przez trzymany w zębach kawałek cukru, po czym odstawia kubek na serwetę.

– Ech, słyszałeś ją już tyle razy, ale niech ci będzie, opowiem jeszcze raz – westchnął z udawaną rezygnacją.

Jego żona dobrze jednak wiedziała, że wręcz uwielbia opowiadać, a dar opowiadania dostał w spadku po rodzicach, ci z kolei otrzymali go od tych, którzy przed nimi wędrowali ścieżkami życia. W ten sposób ludzie nieprzelewający słów na papier zapamiętywali i tak ostawał się po nich jakiś ślad na ziemi, której starali się zbytnio nie zmieniać.

Biera lubił opowiadać przede wszystkim temu chłopcu, który siedział na ławie w kuchni i wybałuszał na niego zmęczone oczy, bawiąc się stojącą na stole cukiernicą. Máriddja wcisnęła poduszkę nieco głębiej pod policzek, odszukała warkocz i w przepelnionej spokojem ciemności ułożyła go porządnie, żeby nie przeszkadzał jej spać. Potem zamknęła oczy.

Ona też uwielbiała słuchać historii Biery, szczególnie tych, które przychodziły mu do głowy w takich właśnie okolicz-

nościach, na prośbę dziecka. W mroku sypialni wyobraziła sobie męża, jak patrzy nieobecny wzrokiem, kiedy szuka w sobie słów, wypatruje młodego pasterza, a gdy wreszcie go znajduje, jego głos jest głosem kogoś innego. Głos ten przedziera się w kuchni przez poświatę rzucaną przez opalaną drewnem kuchenkę i wypływa w ciemność za oknem. W końcu odbija się echem od cieni pomieszczenia, wywabiając z mroku postaci. Mária słyszała, jak Biera przywołuje stukot kopyt i odgłos wydawany przez cielska reniferów drałujących po otwartej przestrzeni, wiatru targającego ich sierść i łaskoczącego je po pyskach. A pośród nich nadszedł młody pasterz – rozumiejąc się bez słów ze swoim psem, przytruchtał na spotkanie ze słuchaczami. Zawieszona na jego ramieniu lina do zarzucania lassa kołysała się lekko, gdy przeskakiwał po kamieniach, a nóż uderzał o zewnętrzną stronę ud.

– Było więc tak – zaczął niespiesznie Biera, jego głos brzmiał głucho i ociężale jak dzwon na kościelnej wieży. Chociaż coraz wyraźniej przepełniała go rodowa pamięć, słowa pozostawały jasne.

Nie sposób było rozstrzygnąć, czy przywołane przez niego moce go opętały, czy to on panował nad nimi, nad pasterzem reniferów i spółką. Zdawało się, że nawet wiszący na ścianie stary zegar wstrzymał oddech w oczekiwaniu, aż Biera przeczyta coś z tej niespisanej nigdy księgi.

– Młody pasterz i jego pies przemierzali latem góry za stadem, byli sami z reniferami. Ich praca nie należała do lekkich, więc po całym dniu zmęczeniu układali się do snu w *lavvu*. Pewnego wieczoru, kiedy ogień już się niemal wypalił, ale żar wciąż tlił się między kamieniami, pasterz leżał z zamkniętymi oczami i głową opartą o worek, a sen powoli go ogarniał. Wtem coś zaszurało o ścianę namiotu. Otworzył oczy, wytrzymał w mroku wzrok i usiadł. Słyszał dźwięczny śmiech i ciche

słowa wymawiane z dziewczęcą przekorą. Nadstawił uszu, po czym dostrzegł na zewnątrz trzy cienie. Sprzeczały się ze sobą, a kiedy jeden z nich został pchnięty na *lavvu*, na rozciągniętej na namiocie skórze zarysował się kształt ciała.

– Cały dzień go obserwowałam z daleka. Teraz możesz mu się porządnie przyjrzeć!

Pasterz domyślił się, że dziewczęta na zewnątrz to *hálđi*, bo nie było tu nikogo innego w promieniu kilkunastu kilometrów. Wedle pamięci zbiorowej i podań Saamów te istoty znajdowały się zawsze w pobliżu, ramię w ramię z ludźmi, ale zobaczyć je mógł tylko ten, kto miał specjalny dar. Krążyło na ich temat wiele opowieści, a on słyszał wszystkie, które przekazywano w jego rodzinie. Duchy nazywały Saamów kuzynami i był pewien sposób, żeby nawiązać z nimi kontakt, żeby nakryć je tak, jak stały, móc ich dotknąć i zatrzymać na stałe.

Pies się przebudził i zwięszywszy dziewczęta, zamarł zwrócony w ich stronę. Z jego gardzieli dochodził warkot, ucichł, gdy tylko pasterz pogłaskał zwierzę po grzbiecie. Drugą ręką sięgnął po nóż do pochwy, którą nosił u paska, i cicho, jakby sam był zjawą, wyciągnął zrobiony z rogu trzonek i ostre stalowe ostrze. Następnym razem, gdy ciało kobiety uderzyło o *lavvu*, był przygotowany. Czubkiem ostrożnie dźgnął ją w zadek, tak że na skórzanym obiciu namiotu wykwitła krew.

Na zewnątrz zrobiło się cicho, jakby gęsta mgła spowiła górę. Wiatrowi zabrakło tchu, wzniesienia przestały śpiewać, a delikatne trzaskanie żaru ucichło nagle jak ścięte mrozem.

Potem gruby materiał się rozsunął i do środka wsadziła głowę kobieca postać, miękko się poruszając, zajęła miejsce po drugiej stronie ogniska. Uniosła wzrok i ciemnymi oczami lśniącymi jak leśne stawy popatrzyła na pasterza, aż mu zaparło dech w piersi.

Długo mu się przyglądała, jakby chciała wejrzeć do najgłębszych zakamarków jego duszy. Wreszcie uśmiechnęła się i powiedziała spokojnie:

– Chciałeś mnie tu zatrzymać. Zobaczymy, czy zdołasz mnie przy sobie utrzymać.

Jej saamski wydawał się staroświecki, ale silnym, spokojnym głosem dodała:

– Zostanę twoją żoną i dostaniesz w posagu całe moje stado. Urodzę ci zdrowych synów i silne córki i będziemy razem szczęśliwi. Ale jedno musisz mi obiecać.

Serce młodego pasterza zabiło mocniej. Przepelniony szczęściem i oczekiwaniem nie dał rady zrobić nic więcej, jak tylko skinąć głową.

– Nie wolno ci nikomu powiedzieć o tym, jak zostałam twoją żoną ani kim naprawdę jestem. Nie wolno ci nigdy zwrócić się do mnie tak, jakbym nie należała do twojego świata.

Młodzieniec odchrząknął i z pełną powagą gorliwie obiecał, że zrobi dokładnie tak, jak ona oczekuje. Potem – zgodnie z poleceniem dziewczyny – udał się do miejsca, gdzie jego rodzina miała w kamieniu *sieidi*, i zmrużył oczy w jasną letnią noc. Zdawało się, że o tej porze roku nie bzyczy tu choćby jeden komar.

Usłyszał, jak zbliża się duże stado reniferów. Ścisnął w ręce linę i zgodnie z otrzymaną instrukcją śledził wzrokiem potężnego białego samca. W końcu zarzucił lasso. Kiedy udało mu się przyciągnąć do siebie tego silnego, dumnego rena, stado się rozdzieliło i połowa gromady ruszyła za nim. Zwierzęta jakby coś zassało, z wyciągniętymi szyjami pędziły za przewodnikiem. Ku młodemu mężczyźnie.

I było tak, jak powiedziała dziewczyna. Wzięli ślub, podczas ceremonii przesuwali się oboje w stronę przeciwną do biegu słońca, a należący do jego siidy *noaidi* odczytał od końca *Ojciec nasz*. Wszechwładny szaman zapewne w mig się zorientował, kim jest panna młoda, ale dobrze wiedział, że o takich rzeczach nie mówi się głośno. Dzieci rodziły im się jedno po drugim, a dzięki okazałemu stadu żony wiodło im się dostatnio. Żyli długo i szczęśliwie jak renifery na bujnym pastwisku.

W kuchni zapadła cisza. Żeby zyskać na czasie, Biera obracał kubek w ręce i patrzył w fusy ślepo, a może profetycznie.

– I co było dalej? – spytał chłopiec.

– Dobrze to wiesz. Pewnego wieczoru mąż przeczesał dłońmi kruczoczarne włosy żony i wyszeptał jej do ucha: „Moja kochana, moja najdroższa... moja *haldi*...”. A ona nagle jakby skamieniała. I odwróciła się równie wolno co chmury odsłaniające słońce na niebie, przyciągnęła do siebie dzieci – i nawet nie spojrzawszy na męża, wyszła bez słowa z *goahiti*, a mężczyzna ku swojemu przerażeniu patrzył, jak jego rodzina i pasące się kawałek dalej stado rozplývają się, tworząc jedność z pierwszymi promieniami słońca, które padły na ziemię.

Máriddja wzdrygnęła się pod kołdrą na posłaniu, czekając, aż magia pryśnie, jak zawsze po zamknięciu Biery. Potem usłyszała głuchy odgłos otwieranej puszczonej ze snusem. Mąż włożył pod wargę solidną porcję. Chłopiec siedział chwilę cicho, po czym spytał:

– Ale dlaczego zniknęła? Skoro go kochała, mogła chyba zostać z nim i z dziećmi?

Zdawało się, że Biera poważnie zastanawia się nad odpowiedzią, bo udzielił jej dopiero po chwili.

– Chociaż darzyła go uczuciem – zaczął – w głębi serca czegoś jej zapewne brakowało. Wydaje mi się, że nigdy nie przestaje się tęsknić za miejscem, z którego się pochodzi. Kimkolwiek ktoś się stanie i gdziekolwiek się znajdzie, jego serce zawsze będzie miało gdzieś jakieś korzenie.

Jego głos był do tego stopnia oderwany od czasu, tak przesycony losem, że Máriddja dobrze wiedziała, że jej mąż w i d z i.



# 1

## Jábmemáhkká dostaje zielone światło

W samym środku najczarniejszej, ciągnącej się w nieskończoność zimy z siarczystymi mrozami stara kobieta usłyszała wyrok. W pomieszczeniu z utrzymanymi w mglistych barwach obrazami Máriddja konsekwentnie unikała wzroku lekarki. „Zapewne specjalnie wybrano tutaj te ponure pejzaże, żeby oprawić w stosowną ramę takie właśnie rozmowy”, myślała cynicznie.

Doktor Skruvlenius czekała na jej reakcję, łagodnie przy tym mrużąc pełne współczucia oczy pod delikatnie połyskującymi zielenią brwiami.

W gruncie rzeczy te brwi – zarówno pod względem koloru, jak i kształtu – po wdrapaniu się nad okulary lekarki wyglądały, jakby doskwierała im choroba morska, jak skacowane larwy. Albo jak jaszczurki. Żwawe i nienazarte młode jaszczurki, które przemykały jej po czole, gdy mówiła powoli ze starannie wyćwiczoną empatią.

„Może to kwestia światła?”, zastanawiała się Máriddja. W pomieszczeniu intensywnie czuć było środkiem dezynfekującym i liliami. Staruszka uniosła brodę, żeby lepiej widzieć. „Rude włosy mogą nabrać zielonkawych niuansów, jeśli człowiek myje się w kwaśnej wodzie. A może było odwrotnie? *Nájuo!* Włosy stają się zielonkawe od słonej wody”. Pokazywali w telewizji, więc to zapewne prawda.

Lekarka zamruczała cicho i uspokajająco; stara kobieta, która usłyszała właśnie smutną wiadomość, znajdowała się najwyraźniej w ogromnym szoku.

– Rozumiem, pani Mario, że to trudne, ale niestety nie da się bezboleśnie przekazać tak niebywale przykrew wiadomości.

Brwi błyskawicznie opadły, żeby po chwili znów ułożyć się nad okularami lekarki w pełne współczucia zielone A.

Máriddja też uniosła brwi wysoko na czoło, żeby sprawdzić, czy poczuje się przez to jak gad, ale niestety. Bardzo żałowała. Taka umiejętność przyniosłaby jej w życiu wiele radości. Nozdrza rozszerzyły się staruszcze z wysiłku, kiedy jeszcze raz spróbowała odtworzyć kapitalne miny swojej rozmówczynie. Skrupulatnie wyškubane włoski opadły teraz lekarce niesamowicie nisko, tuż nad powieki, bo usiłowała pochwycić uciekające spojrzenie pacjentki.

„Czy da się to wyćwiczyć?“, głowiła się dalej Máriddja i z ciekawości aż się pochyliła na niewygodnym i nienaturalnie głębokim fotelu. Spozstrzegła, że brak odpowiedzi z jej strony zaczął martwić lekarkę.

– A jak wygląda pani sytuacja w domu? – spytała doktor Skruvlenius, przekrzywiając empatycznie głowę. – Ma pani może męża albo inną bliską osobę, która mogłaby pani pomóc przez to przejść? – Lekarka wyartykułowała to pytanie w wyjątkowo irytujący sposób, jakby Máriddja była niedorozwinięta. – Dołożymy oczywiście wszelkich starań, żeby panią wesprzeć i żeby ten ostatni czas był dla pani jak najlżejszy. Możemy zaofiarować pani rozmowy z psychologiem, a ja oczywiście przepiszę leki psychotropowe, jeśli tylko uzna je pani za pomocne.

Mimo łagodnego tonu lekarki Máriddja zachowała czujność i teraz znów w pełni obecna znalazła się w tym pokoju. Analiza brwi musiała zaczekać.

– Mam męża i mój stary odpowiednio się mną zajmie. Teraz, kiedy już wiemy, na czym stoję, nic już nam nie trzeba. – Spróbowała się podnieść. – Dziękuję pani za pomoc.

Doktor Skruvlenius powstrzymała ją, wyciągając chłodną dłoń. Dwie jaszczurki na jej czole zbliżyły się do siebie i obwąchały u nasady nosa.

Drobna ręka przyjaźnie usposobionej lekarki spoczęła na pokrzywionych palcach Máriaiddji przypominających gałęzie sosny karłowatej.

– Rozumiem, że trudno się z tym pogodzić, pani Mario, ale jeśli czuje się pani na siłach, chciałabym wspomnieć jeszcze o innych możliwościach, które mamy do zaoferowania. Moglibyśmy zaproponować przynajmniej wsparcie psychologiczne pani mężowi?

Máriaiddja tak się przeraziła, że zapomniała się nawet zirytować tym, że lekarka po raz wtóry zwróciła się do niej niewłaściwym imieniem. Strząsnęła z siebie dłoń doktor Skruvlenius i odparła:

– Nie, on nie należy do zbyt rozmownych. Przyjmie to zapewne ze spokojem. Nie sądzę też, żeby się tym jakoś szczególnie przejął.

Jaszczurki podskoczyły tak wysoko, że czoło lekarki się pożałdowało. Zapadły się przez to między zmarszczki na jej twarzy, jakby chciały ukryć zdziwienie lub przerażenie.

„Niebywałe, ależ ta kobieta ma talent”, pomyślała z uznaniem Máriaiddja i straciła wątek.

– Ale... ale to przecież oczywiste, że będzie mu trudno... poradzić sobie bez jakiegokolwiek wsparcia w sytuacji, która naprawdę nie jest wskazana dla starzejącego się człowieka! – Nieco monotony głos doktor Skruvlenius zaczął osiągać ożywczo wysokie tony. – Mierzenie się z ryzykiem utraty drugiej połówki po tylu latach to wielka trauma! – podkreśliła.

Máriaiddja w geście rezygnacji poruszyła głową tam i z powrotem, po czym dodała:

– Własnoręcznie uspił wszystkie swoje psy, ale może mi pani wierzyć, że to wrażliwiec! Większość z nich naprawdę kochał na

zabój. Jasna sprawa, trochę pochlipywał, kiedy myślał, że nikt go nie widzi, ale zaraz potem znów był jak nowo narodzony!

Lekarce opadła szczęka.

– Ale przecież pani sytuacja nie przypomina usypiania zwierząt? Chodzi mi o to... – Jej oczy przybrały rozmiar spodków i tylko krok dzielił ją od utraty profesjonalizmu. – Mimo wszystko nie jest pani psem, tylko żoną! Jest pani pewna, że to... – Straciła wątek. Szybko jednak zebrała się w sobie i kontynuowała trzeźwym głosem z mocnym postanowieniem, że będzie się trzymać obowiązującej procedury przekazywania tego typu wyroków śmierci. – No więc. Jak państwo sobie radzą? Mieszkają państwo w domu opieki czy może u siebie i przyjeżdża do państwa opiekunka z pomocy domowej?

Serce aż podskoczyło Máriddji do gardła, na języku poczuła smak siana do ocieplania butów, a słowa, które opuściły jej usta, wypowiedziała w dużym pośpiechu.

– Nie, żadnej opiekunki. Nie lubimy, kiedy kręcą się u nas obcy. Dobrze sobie radzimy we dwoje, powiedziałabym nawet, że pieruńsko dobrze. Nigdy nie była nam potrzebna niczyja pomoc. Żadne z nas choćby w najmniejszym stopniu nie odeszło od zmysłów ani na nic nie choruje – poinformowała lekarkę, zapomniawszy o tym, co przed chwilą usłyszała na temat swojego stanu zdrowia.

Doktor Skruvlenius przyłożyła palec do brody i chrząkała irytująco długo, dając wszem wobec do zrozumienia, że coś rozważa.

– Mimo wszystko, pani Mario, sądzę, że dobrze by było, gdybyśmy mieli z panią jakiś kontakt i wiedzieli, jak się pani miewa. Jak już mówiłam, wciąż możemy sporo dla pani zrobić, nawet jeśli ostateczne zakończenie jest nie do uniknięcia – dodała ostrożnie, ale jednoznacznie.

– Dobrze, może zatem na tym poprzestańmy? – podsunęła Máriddja i podniosła się bez odrobiny gracji z nieergonomicznie zaprojektowanego mebla. Strzyknęło jej w kolanach, gdy

się schylała, żeby podnieść czapkę, która spadła na podłogę, i naciągnąć ją sobie na włosy.

– Jak pani sobie życzy. Mamy pani dane, więc odezwiemy się za kilka dni, kiedy już się pani z tym nieco oswoi.

Lekarka wyciągnęła do niej rękę. Máriddja odpowiedziała na ten gest, porządnie smarcząc w chusteczkę, którą na początku rozmowy zapobiegawczo dała jej lekarka, po czym wręczyła ją jej z powrotem. Małe, lśniące salamandry na czole rudowłosej kobiety zdawały się zdezorientowane, ale ta szybko się otrząsnęła, wzięła od pacjentki ligninę i się pożegnała. Potem onkolożka Runa Skruvlenius odprowadziła wzrokiem drobną postać, która mamrocząc, szła po marmurowej posadzce w rozpiętej kurtce trzepoczącej jak kruk z trudem lecący pod wiatr. „U tej staruszki nie tylko ciało szwankuje”, pomyślała lekarka, której salamandry drzemały leniwie ogrzewane uderzeniem ciepła wywołanego menopauzą.

\* \* \*

Máriddja pospiesznie kierowała się do wyjścia szpitalnymi korytarzami, tak szybko, jak tylko niosły ją krótkie, krzywe nogi. W drodze na przystanek, gdzie za trzy kwadranse miał się zatrzymać autobus, wygrzebała z kieszeni puchowej kurtki swój wiekowy telefon komórkowy i wyrzuciła go do kosza.

Żywa dusza się nie dowie o tym paskudztwie. To sprawa między nią a stwórcą.

Kiedy zzieleniała doktorka spróbuje się do niej dodzwonić, nikt nie odbierze telefonu. Sygnały przypominające bzyczenie komarów, którym przeżarły się pogadanki wszelkiej maści life coachów, będą niosły się echem po zatęchłym plastikowym grobie między niedopałkami a zgniecionymi torebkami po cukierkach. Bateria w tym przeklętym telefonie wyzionie ducha prędzej niż Máriddja.

To jedno było pewne.

Tej nocy Máriddja obudziła się ze snu i aż jęknęła, zmarszczki na policzkach miała wilgotne i obolałe. Biera leżał odwrócony do niej przodem i trzymał na jej talii swoją ciężką dłoń.

– Coś ci się śniło. – Ślubny przyglądał się jej z powagą niczym ksiądz katolicki, który podczas spowiedzi nasłuchał się o szczególnie ciężkich grzechach. – O nim, jak sądzę...

Wciąż miała przyśpieszony oddech, spróbowała teraz nad nim zapanować całą siłą woli.

Nie wiedziała, co powiedzieć, popatrzyła więc tylko Bierce w oczy, otwierając przed nim swoją duszę. Przytuliła się do jego podstarzałej dłoni, a on delikatnie ją zacisnął.

– Mnie też go brakuje. – Głos Biery był mroczny jak blade światło.

Leżeli cicho w ciemności zwróceniu do siebie pod kołdrą, pustka na materacu między nimi, w której spokojnie zmieściłby się niemowlak, niosła się echem po ich myślach. Máriddja czuła, że powinna go chwycić za ciepłą stópkę. Chociaż zdążył się zmienić w dorosłego mężczyznę, więc jego stopa zapewne nie zmieściłaby się w jej dłoni ani nie byłoby im zbyt wygodnie razem leżeć. O ile w ogóle spałby z nimi w jednym łóżku, czego, rzecz jasna, by nie robił. Nocowałby na ławie w kuchni, byłaby może dla niego zbyt krótka, ale Máriddja podłożyłaby mu poduszkę pod łydki, żeby się nie obijały, wystając poza posłanie. Dałaby mu też grube skarpety. I zapewne by dopilnowała, żeby miał porządnie opatulone stopy, gdyby te mimo wszystko dyniały mu w nocy. Jeśli za młodu człowiek odmrozi sobie stopy, na starość będą go bolały, wszyscy o tym wiedzą.

– Mówiłaś chyba, że nieźle ci dzisiaj poszło w lazarecie? – powiedział zmorzony Biera już niemal przez sen.

Máriddja przyjrzała mu się z bliska, po czym udała, że ziewa. Uspokajająco poklepała męża po dłoni.

– No ba, jestem zdrowa jak ryba. Nie ma najmniejszych powodów do obaw!

Pocałowała go w paznokiec kciuka i odsunęła się od niego, żeby nie zauważył, co stara się zamaskować swoją miną. Dłoń męża wciąż spoczywała na jej dłoni, gdy usłyszała, jak Biera zasypia; ze starym charczeniem, z trudem wydychając powietrze pomiędzy drżącymi wargami.

Biera Rijá spał jak dziecko, co ją zarówno uspokajało, jak i napawało przerażeniem.

Kiedy przekreśliła poduszkę, a jej oddech się pogłębił, mogłaby przysiąc, że czuje przy ustach małe, mięciutkie skronie Heaiki-Jony. I jego zapach.

Máriddja nabrała go w płuca tak jak samica zwierzęcia zaciąga się wonią śpiącego potomstwa. Jej myśli zmieniły się w powietrze, dwutlenek węgla i bolesną ciszę; których korzenie sięgały pępka.